

Konfekcyjni mordercy w Bangladeszu

28 lipca 2013

Tuż przed śmiercią ponad tysiąca robotnic i robotników, spowodowaną zawaleniem się zakładów Rana Plaza w Dhace, inne katastrofy rzuciły światło na warunki pracy w bangladeskich zakładach przemysłu odzieżowego. Jak do tego doszło?

Widoczna ze wszystkich stron z odległości kilkuset metrów błyszcząca szklana wieża, która wznosi się samotnie na brzegu jeziora Hatirjheel, wygląda jak londyńskie City przeniesione w serce gigantycznego bidonville, osiedla nędzy. Jest to siedziba Bangladesh Garment Manufacturers and Exporters Association (BGMEA, Stowarzyszenia Fabrykantów i Eksporterów Odzieży Bangladeszu). W przeciwieństwie do budynku Rana Plaza, którego zawalenie się 24 kwietnia br. spowodowało śmierć co najmniej 1127 osób, głównie robotników przemysłu włókienniczo-odzieżowego, wieży BGMEA nie grozi zawalenie. Tymczasem byłby to tylko akt sprawiedliwości: w orzeczeniu wydanym 19 marca br. Sąd Najwyższy Bangladeszu nakazał zniszczyć w ciągu trzech miesięcy ten należący do pracodawców drapacz chmur, gdyż zbudowano go nielegalnie na terenie publicznym, który BGMEA zajęło nie mając do tego żadnego tytułu, w zмовie z ministrem handlu. BGMEA się odwołało. Niezależnie od tego, czym ta sprawa się skończy, nikt nie wyobraża sobie, aby „nowotwór znad Hatirjheel”, jak nazywają go urzędnicy sądowi, mógł pewnego dnia zniknąć.

Przy wejściu gość ma prawo do salutu wojskowego agentów ochrony. W Dhace, gdzie turysta to rzadkość, białego człowieka często bierze się za nabywcę konfekcji, kupca od Mango, Benettona czy Hennes & Mauritz (H&M), któremu strażnicy i portierzy mają obowiązek okazywać szacunek. Zainteresowany z chęcią poczuje się panem. Jeśli chodzi o jego stosunek do człowieka z ulicy, to nie budzi on wątpliwości – w broszurze

pt. Dhaka Calling, oferowanej klientom wielkich hoteli, figuruje takie oto mądre zalecenie: „Proszę nie śmiać się z ludzi, którzy z powodu ubóstwa są chorzy, proszę z nich nie kpić.”

Jest 9 kwietnia i Rana Plaza, położona w odległości 20 km od wieży BGMEA, jeszcze stoi. Najgorsza masakra w dziejach przemysłowych Bangladeszu zdarzy się dopiero za dwa tygodnie, ale problem bezpieczeństwa i warunków pracy w przemyśle włókienniczym od dawna stoi tu ostro na porządku dziennym. 7 stycznia br. pożar spowodował śmierć 8 robotników w Smart Garment Export – fabryczce zatrudniającej 300 pracowników w śródmieściu Dhaki. „Żaden nie miał 16 lat”, zapewnia Saydia Gulrukh, antropolożka, która utworzyła grupę solidarności z ofiarami tego przemysłu. Półtora miesiąca wcześniej, 24 listopada, pożar spustoszył fabrykę Tazreen Fashions w Ashulii, na północnym przedmieściu stolicy państwa. Zgodnie z urzędowym bilansem, zginęło tam 112 osób, a rany odniosło około tysiąca.

W dziewięciopiętrowej fabryce Tazreen pracowały 3 tys. stłoczonych pracowników najemnych – w większości młodych kobiet, które za chlebem dla rodzin przyjechały z najuboższych wsi. Za 3 tys. tak – taka to tutejsza waluta – stanowiących równowartość 30 euro, wytwarzają oni przez 10 godzin dziennie i przez 6 dni w tygodniu ubrania przeznaczone dla prestiżowych marek, takich jak Disney, Walmart i francuski koncern Teddy Smith. Na parterze, przy klatce schodowej, gwałcąc najbardziej elementarne zasady bezpieczeństwa, magazynowano materiały łatwopalne. Jak to jest tutaj w zwyczaju, wyjścia ewakuacyjne były zaryglowane, aby uniemożliwić wszelką kradzież towarów, toteż ofiary pożaru znalazły się w potrzasku i zginęły paląc się żywcem lub wyskakując przez okna. Właściciela, Dolwara Hossaina, wymiar sprawiedliwości nie niepokoi z tego powodu i nadal spokojnie robi on interesy. Czy jego przynależność do BGMEA odegrała jakąś rolę w zapewnieniu mu bezkarności?

Aby przestudiować tę sprawę, dziennikarz umówił się na

spotkanie z prezesem BGMEA, Atiqulem Islamem. Ten silny człowiek gospodarki bangladeskiej – przemysł włókienniczy zatrudnia 4-5 mln osób i wytwarza 80% towarów eksportowych, co czyni z tego kraju drugiego po Chinach światowego eksportera konfekcji – prezesuje stowarzyszeniu dopiero od miesiąca. Niejednego zaskoczył awans tego młodego, mało znanego w środowisku przedsiębiorcy. „To mały gracz bez doświadczenia i autorytetu”, sygnalizuje pewien zawodowiec z tego sektora. „Jeśli wywindowano go na prezesa, to uczyniono tak ze względu na jego giętkość, która pozwala grubym rybom pociągać za sznurki bez wychodzenia na scenę.”

W grudniu 2012 r. zaaranżowana przez BGMEA inspekcja – jak można sobie wyobrazić, była to dość niezwykła inicjatywa – uznała za niebezpieczne cztery fabryki, bo zbudowano je z pogwałceniem kodeksu budowlanego. Wśród nich była fabryka Rose Dresses Limited w Ashulii, należąca do... Islama. Trzy miesiące później wybrano go na prezesa BGMEA. Wiadomo, że ogromna większość spośród 5 tys. zakładów przemysłu włókienniczego otwarcie depreczuje prawo, toteż zrodziło się podejrzenie, że inspekcja miała jedynie na celu przyparcie przyszłego prezesa do muru, tak, aby odczuł przyjazną presję swoich protektorów.

Dziennikarz, oczekując na szefa pracodawców, przypomina sobie historię gospodarczą kraju. Anu Mohammed, profesor ekonomii na Uniwersytecie Jahangirnagarskim, podsumowuje ją następująco: „Bangladesz nie zawsze żył pod kuratelą konfekcji. Do połowy lat 80. pierwszym bogactwem tego kraju była uprawa juty. Następnie zjawiły się tu MFW i Bank Światowy. Pod ich egidą, plany prywatyzacji i redukcji wydatków publicznych spowodowały wzlot bezrobocia, zmasowany import i obumieranie miejscowego przemysłu. Biurokraci z wielkich partii politycznych, oficerowie armii i policji i synowie dobrych rodzin rzucili się na okazję.” Zachęty do inwestowania w przemysł włókienniczy są nieodparte: tania siła robocza, związki zawodowe osłabione prywatyzacjami przedsiębiorstw państwowych, zniesienie taryf celnych na import maszyn przeznaczonych dla

przemysłu eksportowego. Resztę czyni korupcja.

Europa Zachodnia i Stany Zjednoczone uległy pokusie i wynagradzają tę politykę, szeroko otwierając drzwi przed odzieżą made in Bangladesh. W przemówieniu wygłoszonym w Dhace 21 listopada 2001 r. Pascal Lamy, ówczesny komisarz europejski do spraw handlu, rzuca swoje: „Ja was zrozumiałem”: „Unia Europejska jest gotowa wesprzeć Bangladesz w wysiłkach zmierzających do osiągnięcia (...) lepszej integracji ze światowym systemem handlowym, stwarzając wam nowe możliwości handlowe i sprzyjając waszemu większemu przenikaniu na rynek.” W latach 2000-2012 obroty bangladeskiego przemysłu włókienniczo-odzieżowego wzrosły ponad czterokrotnie – z 4,8 do 20 mld dolarów. Goldman Sachs zaciera ręce: w czerwcu 2012 r. ten bank nowojorski uplasował Bangladesz, jeden z najuboższych krajów na świecie, na czele listy Next Eleven, „najbliższych jedenastu” krajów, które mają szansę dołączyć do wschodzących mocarstw BRICS (Brazylia, Rosji, Indii, Chin i Republiki Południowej Afryki).

Kura znosząca złote jajka zrodziła nową elitę, która jeździ samochodami z napędem na wszystkie koła, jada w Pizza Hut (w Dhace to szczyt snobizmu), gra w golfa i posyła dzieci na studia do Stanów Zjednoczonych. „Konfekcja to obietnica łatwego pieniądza, lukratywny środek, pozwalający inwestować w jakimkolwiek sektorze lub załapać się na miejsce w parlamencie”, kontynuuje Anu Mohammed. „Oficjalnie, spośród 300 posłów, 29 posiada fabrykę odzieżową. W rzeczywistości, jeśli uwzględnimy tych, którzy mają fabryki na cudze nazwiska, to okaże się, że jest ich znacznie więcej. W Bangladeszu trudno jest znaleźć ludzi u władzy, którzy nie byłiby związani z przemysłem odzieżowym. To BGMEA zawiaduje krajem.”

Dziennikarz wraca do siedziby stowarzyszenia pracodawców. Ponieważ Islam każe na siebie czekać, jeden z jego bliskich współpracowników towarzyszy mu w salonie sąsiadującym z biurem prezesa. Hassan Shahriar Chowdhury wrócił właśnie ze Stanów

Zjednoczonych, gdzie, jak mówi, współpracował z grupą kongresmanów w „sprawie walki z terroryzmem”. Ten oficer wojsk powietrznych, „fan Angeli Merkel”, nie posiada fabryki odzieżowej – a przynajmniej tak twierdzi. Cóż w takim razie robi w BGMEA? Uchyła się od odpowiedzi na to pytanie, ale demonstruje, że jest zachwycony rozmową z dziennikarzem francuskim. „Uwielbiam Francję. Wie pan, państwo bangladeskie przewiduje zakup dwóch łodzi podwodnych. Zazwyczaj zakupujemy broń w Chinach. Dobrze znam premiera, Sheikha Hasinę. Szepnąłem mu więc do ucha, że lepiej byłoby zakupić francuską łódź podwodną. Jest droższa, ale przy tym jest mniej korupcji, nieprawdaż?” Wobec sceptycyzmu rozmówcy Chowdhury woli zmienić temat, beztrąsko otwierając przed gościem swój notatnik z adresami i telefonami. „Ponieważ jest pan dziennikarzem, czy interesowałoby pana spotkanie z moją kuzynką, która jest ministrami do spraw kobiet? Mogę również skontaktować pana z dyrektorami głównych dzienników bangladeskich, wszyscy są moimi przyjaciółmi.”

Pojawienie się Islama przerywa tę obiecującą rozmowę. W otoczeniu pięciu tłoczących się wokół niego doradców, szef przedsiębiorców oświadcza, że zmienił zdanie: spotkanie zostało anulowane. „Potrzebuje pan akredytacji w Ministerstwie Spraw Wewnętrznych”, mówi z ponurą miną, „a ponieważ pan jej nie ma, nie mogę z panem rozmawiać, zwłaszcza o takich wrażliwych sprawach.” W drodze powrotnej do windy dziennikarzowi rzuca się w oczy wywieszka na szybie, za którą krzątają się menedżerowie i sekretarki: „Mniej mówić, więcej pracować.”

Chcąc ocenić potęgę BGMEA, lepiej będzie zasięgnąć języka u osób ocalałych z pożaru w fabryce Tazreen. W towarzystwie Sherina, działacza Krajowej Federacji Pracowników Przemysłu Odzieżowego (NGWF), związanej z Komunistyczną Partią Bangladeszu, dziennikarz jedzie do Ashulii. Nieprawdopodobny chaos miejski Dhaki stopniowo ustępuje miejsca księżycowemu krajobrazowi, w którym jeżą się kominy wymiotujące czarne

dymy. Wyrostki w obszarpanych ubraniach wypalają w piecach cegły, które posłużą do budowy widocznych na horyzoncie rezydencji klasy średniej, ale również fabryk, których ciągle przybywa nieco dalej na północ. Po zjechaniu z głównej drogi, mała droga z ubitej ziemi prowadzi do zwęglonego szkieletu betonowego kłosa pokrytego bambusowym rusztowaniem: witajcie w Tazreen Fashions – do niedawna firma ta była oficjalnym dostawcą koszul Disney.

Nasreen ma 25 lat, ale wygląda na 40. W przeciwieństwie do innych ocalałych, którzy pospiesznie wrócili na wieś, ona nie opuściła Nishchintapuru, osiedla-sypialni z cichymi, niemal przytulnymi uliczkami, rozciągającego się u stóp fabryki. 24 listopada o godzinie 18:50 Nasreen siedziała przy swojej maszynie do szycia, na drugim piętrze, gdy usłyszała dźwięk syreny alarmowej. „Mistrz powiedział nam, że to ćwiczenia i że mamy pozostać na swoich stanowiskach”, opowiada zgaszona. „Następnie usłyszałyśmy drugi alarm. Wtedy ogarnęła nas panika. Poczuliśmy zapach spalenizny. Mistrz nadal nie pozwalał nam się ruszyć, ale mimo wszystko zaczęłyśmy uciekać. Było dwoje drzwi wyjściowych, jedno otwarte, drugie zamknięte. Schody, do których prowadziły otwarte drzwi, już się paliły. Gdybyśmy mogły zejść tymi drugimi schodami, które się nie paliły, wszystkie byłybyśmy żywe.” Niektóre okna też były zaryglowane. Razem z garstką koleżanek, Nasreen udało się otworzyć jedno z okien i wyskoczyć. Wyszła z tego ze złamana nogą, koszmarami, które będą dręczyć ją do końca życia i przeraźliwym lękiem przed tym, że pewnego dnia znów będzie musiała postawić nogę w jakiejś fabryce.

A przecież nie ma wyjścia. Dotychczas jedyna pomoc, jaką uzyskała, to „25 kg ryżu, 25 kg cebuli i litr oleju”. Nędzne zarobki jej męża nie pozwolą wyżywić rodziny, toteż będzie musiała pokonać bezsenność i ponownie usiąść przy maszynie do szycia. Gdy w Bangladeszu pali się lub zawala fabryka, odszkodowanie wypłaca ofiarom BGMEA. Taryfy stowarzyszenia są małownicze: 100 tys. tak (1 tys. euro) na każdego rannego z

tytułu pomocy lekarskiej, 600 tys. tak (6 tys. euro) na każdego trupa, z tytułu rekompensaty dla rodziny. Pracodawca się nie wtrąca, wymiar sprawiedliwości też nie. Tylko szczęśliwcy załapią się na okruchy rozdzielane przez BGMEA, bo stowarzyszenie samo sporządza listy ofiar. Ponieważ większość pracowników zatrudnia się ustnie, bez umowy o pracę, wielu ocalałych nie posiada żadnego dokumentu, który uzasadniałby ich roszczenia. W końcu każdy może złamać nogę lub wpaść do pieca – niekoniecznie ma to coś wspólnego z pożarem w fabryce.

W przypadku pożaru w Tazreen sprawa jest jeszcze trudniejsza, ponieważ nie można zidentyfikować wielu zwłok. Zdaniem Gulrukh, która jest w kontakcie z rodzinami pozostawionymi na łasce losu, co najmniej 26 robotnic, które zginęły w pożarze, wykluczono z listy ofiar. Inni podają liczby pięcio-, a nawet dziesięciokrotnie wyższe. „Oficjalny bilans nie ma nic wspólnego z tym, co się stało. Każda z nas ma koleżanki, które nie wyszły żywe z tej fabryki, a których BGMEA nie chce uznać za ofiary, pod pretekstem, że nie pozostawiły po sobie śladów”, mówi oburzona inna ocalona, Shilpee. „Jakie ślady możesz jednak pozostawić po sobie, jeśli nie żyjesz, a twoja rodzina na wsi o tym nie wie?”

Tazreen jeszcze dymiła, gdy rząd, ustami premiera, dopatrzył się w pożarze „akcji sabotażowej” – co każdy mieszkaniec Bangladeszu jasno zrozumiał: rzekomo winni są islamiści. Czy to zdumiewające oskarżenie, którego później nic nie potwierdziło, miało zapewnić ochronę właścicielowi fabryki i BGMEA? Anu Mohammad nie ma co do tego najmniejszej wątpliwości. Najlepszy dowód, mówi, to fakt, że „w końcu nic się nie stało: nie było żadnego dochodzenia w celu ustalenia przyczyn pożaru, nie było nakazu aresztowania właściciela i jego mistrzów, żadnego posunięcia, które chroniłoby pracowników przed groźbą pożaru. Poza samymi ofiarami, nikomu nie przychodzi do głowy rozliczyć pracodawcy, Dolwara Hosseina. Od wielu miesięcy jego nazwisko zupełnie znikło z gazet. To tak, jakby nigdy nie istniał.”

Klienci zagraniczni również wykreślili go z pamięci. 15 kwietnia br., z inicjatywy Globalnego Związku Zawodowego IndustriALL i sieci organizacji pozarządowych, marki zaopatrywane przez Tazreen zaproszono do Genewy na spotkanie, którego celem było utworzenie funduszu odszkodowawczego na rzecz ofiar. Disney nie przyjął zaproszenia: po tym, jak siła robocza przyjaciół Kaczora Donalda spłonęła w Bangladeszu, spakowali oni bagaże i przenieśli się do Kambodży lub Wietnamu, toteż teraz umywają ręce. Przyjęcia zaproszenia kategorycznie odmówił również Walmart, który najpierw zaprzeczył jakimkolwiek związkom z Tazreen, a następnie zmienił stanowisko i zdał się na kancelarię audytową, która poświadczyła, że z tą wzorową fabryką wszystko grało. Jeśli chodzi o prezesa i dyrektora generalnego koncernu Teddy Smith, Philippe'a Bouloux, zajętego sprzedażą look rock'n'roll za 163 euro w paryskim butik przy Placu Opery w Paryżu, to nie odpowiada on na telefony i mejle. W rezultacie nalegań dziennikarzowi udaje się złapać jedną z jego współpracownic i wydostać od niej następujące oświadczenie: „Jesteśmy bardzo małym przedsiębiorstwem, nie mamy środków na wyjazd do Genewy...” Teddy Smith to pierwszy sprzedawca džinsów we Francji – rocznie sprzedaje ich około 5 mln.

Carrefour udaje, że pierwsze słyszy. Największa francuska sieć hipermarketów i supermarketów, mająca własne biura w Dhace (pod szyldem Carrefour Global Sourcing Bangladesh), przyznaje, że była klientem Tuba Group, przedsiębiorstwa Hossaina, ale energicznie zaprzecza temu, że kiedykolwiek składała zamówienia w Tazreen. To prawda, że dostawca bangladeski posiadał co najmniej 10 fabryk i że T-shirty sprzedawane w Carrefourze niekoniecznie pochodzą z tej (wówczas) najbardziej śmiercionośnej. Lecz, jak mówi pewien znawca bangladeskiego przemysłu odzieżowego, argument ten nie jest wart guzika od kalesonów. „Klient nie składa zamówienia takiej czy innej fabryce, lecz dostawcy. To on podpisuje umowę, karty socjalne, etyczne, ekologiczne i te wszystkie świstki. Gdy zamówienie jest duże, a jest ono nieuchronnie duże w przypadku takiego

klienta jak Carrefour, dostawca rozkłada produkcję na wszystkie zakłady, którymi dysponuje. W tym przypadku Tazreen służył za fabrykę odciążającą, gdy wszystkie inne zakłady Tuba Group były zatkane. Zresztą, z jakiego powodu mieliby oni skreślić z listy tę fabrykę, która niczym nie różniła się od innych?”

Lecz francuski gigant nie daje za wygraną. „Mamy swoje standardy i sprawozdania z audytu, na których podstawie formalnie zakazaliśmy, aby produkcja odbywała się w Tazreen. Jesteśmy bardzo czujni!”, protestuje Bertrand Swiderski, dyrektor do spraw zrównoważonego rozwoju. Dziennikarz byłby zachwycony, gdyby mógł zapoznać się z tymi sławetnymi sprawozdaniami, ale, niestety, one są „poufne”.

Natomiast Swiderski chętnie zgadza się udostępnić „kartę socjalną”, którą koncern z dumą każe podpisywać swoim egzotycznym dostawcom. Na cmentarzysku szwaczek bangladeskich dokument ten błyszczy jak arkusz papieru prezentowego. W rozdziale „poszanowanie wolności stowarzyszeń”, w karcie Carrefouru stwierdza się np., że „pracownicy mają prawo wstąpić do wybranego przez siebie związku zawodowego lub utworzyć taki związek oraz prowadzić rokowania zbiorowe, bez uprzedniej zgody dyrekcji”. Można sobie wyobrazić, że Hossain bez zmruczenia oka podpisał się pod tym pobożnym życzeniem. W fabrykach jego koncernu – podobnie jak w ogóle w przedsiębiorstwach działających na terenie Bangladeszu – wszelka forma życia związkowego jest surowo zakazana.

Na dowód – relacja Faizula [imię zostało zmienione – przypis]. Ten były robotnik z Tazreen przyjmuje dziennikarza w gołym pomieszczeniu z blaszanym dachem przy uliczce z ubitej ziemi w Nishchintapurze. Jest to miejscowa siedziba Krajowej Federacji Pracowników Przemysłu Odzieżowego, a on jest sekretarzem oddziału w Ashulii. Potajemnie, rzecz jasna. Jeśli chodzi o bajeczkę, którą serwują mózgowcy z dyrekcji do spraw zrównoważonego rozwoju w Carrefourze, to w jego wersji jest ona bardziej lapidarna: „Jeśli wypowiesz w fabryce słowa

‘związek zawodowy’, to natychmiast wylatujesz i nigdzie nie znajdziesz już pracy. W Tazreen była nas setka uzwiązkowionych robotników, ale utrzymywaliśmy to w tajemnicy. Nigdy nie rozmawialiśmy o tym w miejscu pracy.”

Po pożarze, w lokalu związku szybko doszło do żywiołowych zgromadzeń ludzi, którzy ocaleli i byli zdecydowani zaprotestować, ale okazało się, że są rozpaczliwie bezsilni. „Wszyscy robotnicy, którzy nas znali, przychodzili tu podzielić się ze sobą swoją żałobą i gniewem”, opowiada Faizul. „53 naszych towarzyszy i towarzyszek zginęło w pożarze. Byli wściekli na winnego ich śmierci właściciela oraz na rząd i na BGMEA, które go chronią. Nie wiedzieliśmy jednak, co robić.” Rozdać ulotki, zwołać wiec? Wezwać do strajku w innych fabrykach? Faizul patrzy na francuskiego dziennikarza ze smutkiem w oczach, zakłopotany jego naiwnością. „To wszystko jest tu niemożliwe. Ten, kto wyszedłby na ulicę z ulotką, natychmiast zostałby aresztowany przez policję. I już nigdy nie znalazłby pracy.”

Gdy dziennikarz pyta go, na czym w takim razie polega po pożarze jego działalność związkowa, wyjaśnia, że „nawiązał kontakt z robotnikami w innych fabrykach i zachęca ich, aby sprawdzali, czy drzwi i wyjścia ewakuacyjne są otwarte, tak, jak zobowiązali się do tego pracodawcy”. A jeśli nie są otwarte? „Wtedy towarzysze zawiadamiają nas o tym smsem. Wszyscy mają tu telefony komórkowe i w ten sposób się komunikujemy.” Trudno powiedzieć, czy Faizul nie aspiruje do bardziej bezpośrednich działań: wypowiada się w obecności i pod kontrolą działacza związkowego, który przyjechał z Dhaki. Kończymy pić herbatę imbirową, którą poczęstował nas gospodarz. Zanim Faizul nas odprowadzi, wręcza nam zdjęcie swojej żony: podobnie jak on, pracowała w Tazreen i zginęła podczas pożaru, wyskakując przez okno z trzeciego pietra.

Punkt strategiczny, który pośredniczy między markami zagranicznymi a miejscowymi dostawcami, nazywa się „domem zakupu”. W Bangladeszu takich domów jest około dwustu. Ten,

który należy do Nizama Uddina, uważa za punkt honoru zapewnienie wszystkim swoim – w większości europejskim – klientom „przyjeżdżającym do Bangladeszu, aby sami zobaczyli, jak praca wre w fabrykach. Gościmy ich, troszczymy się o nich, należycie nimi się zajmujemy.” Na piętrze dziesiątka operatorów telefonicznych przyjmuje zamówienia pośród szmeru głuchych głosów, natomiast w podziemiu trzej krawcy przygotowują w milczeniu modele przeznaczone dla producenta, zgodnie ze specyfikacją techniczną, dostarczoną przez nabywcę. „Nasz główny klient zmniejszył swoje zamówienia, co zmusza nas do rozejrzenia się za nowymi nabywcami. To nam się zdarzyło po raz pierwszy od 13 lat”, wzdycha Nizam Uddin. W gablocie stojącej w gabinecie, elegancki dyrektor wystawił puchary i medale, które zdobył w golfie – jego „pasji”.

Dziennikarz dziwi się, że jego firma pracuje pełną parą, gdy tymczasem opozycja islamistyczna z partii Jamaat-e-Islami zadekretowała na ten dzień, od samego rana, hartal, strajk, opróżniając ulice Dhaki i blokując działalność gospodarczą. Uddin wzrusza ramionami. „Och, to nam nie przeszkadza. Demonstranci, niezależnie od tego, do czego należą, nie atakują naszych interesów. Czasami palą samochody czy sklepy, ale fabryki pozostawiają w spokoju. Wie pan, BGMEA ma członków we wszystkich wielkich partiach. Dziś popiera [Bangladeską] Ligę Awami premiera Sheikha Hasiny, ale równie dobrze porozumiewa się z nacjonalistami z BNP [Bangladeskiej Partii Nacjonalistycznej], a nawet z islamistami z Jamaatu.”

Mistrz golfa przedstawia nam jednego ze swoich współpracowników, Georges’a Paquet. Ten 67-letni Francuz pali gitanes maïs, które sprowadza z Dubaju, gdzie mieszka przez połowę roku. Do Bangladeszu przyjechał w 1994 r. . Mówi, że jest „u końca kariery” i pozwala sobie na odświeżającą szczerłość. „Tu robi się wszystko, także pieluchomajtki. Sprzedaje się je we Francji w hiper- i supermarketach. Problem polega na tym, że nasi klienci coraz bardziej dołują ceny. Czego oni chcą – żeby ludzie pracowali za darmo? Marki

europiejskie uzyskują co najmniej siedmiokrotną marżę, to znaczy odprzedają nasze wyroby po cenach siedmiokrotnie, jeśli nie dziesięciokrotnie wyższych od ceny zakupu. Wola zysku nie ma już granic. Starzy klienci opuszczają nas z dnia na dzień, bo konkurent proponuje im cenę niższą o 10 centów od sztuki. Panuje niewiarygodna obłuda. Wyobraźcie sobie, że gdy dyrektorzy H&M spotkali się z Sheikhem Hasiną, aby zażądać od niego lepszych warunków pracy w fabrykach bangladeskich, ich podwładni negocjowali u swoich dostawców obniżkę ceny zakupu o 15%. 'Poradźcie sobie, a reszta nas nie obchodzi' – oto ich filozofia."

Gdy dziennikarz pyta o pożar w Tazreen, Paquet wnosi oczy do nieba i wzdycha. „Dolwara Hossaina znam od 10 lat. To dobry i pobożny człowiek; z własnej kieszeni sfinansował budowę meczetu, który stoi obok jego siedziby. Początkowo byłem jego drugim najlepszym klientem, ale sukces zawrócił mu w głowie. Kupował fabrykę za fabryką, ogółem kupił ich 12 i stał się właścicielem zakładów, które miały obroty na sumę 65 mln dolarów. Stracił kontrolę. Przed pożarem w Tazreen nie był tam od roku."

Bezkarność przyjaciela nie stanowi żadnego problemu dla tego weterana przemysłu bieliźniarskiego, specjalizującego się w produkcji bielizny chłonnej. „Nie należy sądzić, że dobrze mu się powodzi: Tazreen kosztował go jedną rękę i jedną nogę. Dolwar jest przytłoczony długami, nie ma ani jednego klienta i wszyscy odwracają się od niego – nawet jego kolesie z BGMEA. O co panu chodzi? Chce pan, żeby poszedł do więzienia?" Szkoda, że tego celnego pytania nie zadano Rehannie, której wizerunek przychodzi w tej chwili na myśl: ta młoda robotnica z Tazreen, uchodząc przed płomieniami, w których smażyły się jej koleżanki, dostała się do przewodu kanalizacyjnego na czwartym piętrze i wyskoczyła, naprawdę łamiąc sobie rękę i nogę. Drewniana taczka zastępuje jej teraz wózek inwalidzki.

Ci, którzy ocaleli z hekatomby przemysłowej w Ashulii, nie przepowiadają swoim koleżankom i kolegom z okolicznych fabryk

światlanej przyszłości. „Dojdzie do kolejnych katastrof, które mogą być jeszcze gorsze niż ta”, obawia się jeden z ocalałych – młody człowiek z ręką na brudnym temblaku. Antropolożka Gulrukh podziela tę prognozę: „Pożar w Tazreen w najmniejszym stopniu nie wpłynął na zmianę fatalnego położenia robotników przemysłu odzieżowego, z powodu postawy elit, które są obojętne na los robotników. Należy zatem spodziewać się kolejnych horrorów. BGMEA zapewne dokona kosmetycznych zmian, aby uspokoić swoich klientów zagranicznych i aby ci uspokoiли konsumentów. Nic jednak się nie zmieni, dopóki nie zburzy się systemu i zbuduje innego, na nowych podstawach filozoficznych.”

Dwa tygodnie później, w wyniku rzezi w Rana Plaza, ofiar śmiertelnych było dziesięciokrotnie więcej, na co bangladeski minister finansów, Abul Maal Abdul Muhith, zareagował następującymi słowami: „Nie sądzę, aby to było coś poważnego. To po prostu wypadek.”

Autor: Olivier Cyran

Tłumaczenie: Zbigniew Marcin Kowalewski

Źródło: [Le Monde diplomatique – edycja polska](#)